



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Zygmunt Surek

## Od Brzozówki do Szastarki

Urodziłem się 6 kwietnia 1929 roku w miejscowości Niewolno – powiat Mogilno, województwo bydgoskie. Rodzicami moimi byli: Józefa Witoń, pochodząca ze wsi Biskupice Zabaryczne oraz Idzi, wywodzący się z miasta Kępna. Miałem dwóch braci: najstarszego Jana i drugiego w kolejności Władysława. Ja byłem najmłodszy.

Najstarsze moje wspomnienia pochodzą z Pleszewa, a następnie z Kępna, do którego tata przeniesiony został służbowo w roku 1932. Ojciec pracował jako urzędnik kolejowy w biurze wagonowym PKP. W tym czasie mieszkaliśmy u pana Potyrały na ulicy Granicznej. Później u pani Rachel przy ulicy Młyńskiej. Właścicielka domu miała dwie córki – Martę i Annę oraz dwóch synów. Najstarsza córka pracowała na Śląsku.

Z opowiadań matki pamiętam, że w jej wsi za bogatego gospodarza uważano takiego, który na okres zimy mógł przygotować kłodę (beczka o wysokości do 2,5 metra) kiszzonej kapusty lub ziemniaków. Moja rodzina zaś do bogatych nie należała. Matka miała czterech braci. Dziadek i wszyscy wujowie byli ropsikami (klusownikami) i każdy z nich posiadał flintę (fuzję myśliwską). Jesienią i zimą kłusowali. Najlepiej nadawały się do tego księżycowe, mroźne noce. Po powrocie z lasu układali na podłodze w izbie upolowane zające, a niekiedy same, po czym budzili moją babcię i mamę, żeby oceniły i oprawiły zdobycz. W ten sposób uzupełniali domowy jadłospis.

W okresie międzywojennym moi bracia uczęszczali do gimnazjum i liceum ogólnokształcącego w Kępnie. Przy czym Jan o dwie klasy wyżej od Władysława. Po ukończeniu gimnazjum Jan kontynuował naukę w Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych przy Liceum Mechanicznym w Katowicach. Do wybuchu wojny w 1939 roku zaliczył drugą klasę. Władysław w tym czasie ukończył klasę 3 gimnazjum w Kępnie.

Rodzina moja należała do dobrze sytuowanych w międzywojennej Polsce. Ojciec jako urzędnik państwowy zarabiał od 220 do 320 złotych, więc stać go było na kształcenie dzieci.

Ulica Młyńska, przy której mieszkaliśmy (w dzielnicy Trzcionka, na peryferiach miasta), miała nawierzchnię gruntową. Nie była skanalizowana. Po jednej stronie drogi wykopano rów, do którego pobliscy mieszkańcy wylewali zlewki i pomyje. Za rowem rozciągały się łąki dworskie niemieckiego właściciela Mianowic o nazwisku brzmiącym fonetycznie „Ciucke”. Na tym terenie z innymi dziećmi rozgrywaliśmy mecze piłkarskie. Szmacianą piłkę sporządzaliśmy ze starych, wypchanych skarpet. Z kolei na niedalekim rozwidleniu naszej ulicy graliśmy w palanta. Obok prowizorycznego boiska mieszkał maszynista kolejowy pan Karpiński, który umiał wygrywać przecudne melodie na listku bzu. Przyjaźniłem się z jego synem Zygmuntem, moim imiennikiem, który po swoim ojcu przejął umiejętność

ności muzyczne. Naprzeciwko pana Karpińskiego w starym domu mieszkała pani Broda (potocznie mówiliśmy na nią Brodzina). Miała syna Maksymiliana – mojego najlepszego przyjaciela. To on, pożyczając mi książkę o podróżach morskich, zaraził mnie pasją czytelnictwa na całe życie.

W domu Brodziny mieszkał z córką oraz niedorozwiniętym fizycznie i umysłowo synem pan Krzak – stale pozostający bez pracy robotnik. Na całe życie zapamiętałem zdarzenie, w którym wprawdzie nie brałem udziału, ale widziałem i dlatego wstyd mi za nie do dziś. Zobaczyłem wówczas jak okrutne mogą być dzieci i jak płacze z bezsilności dorosły mężczyzna. Było to w słoneczne przedpołudnie. Żona pana Krzaka wyniosła swego kalekiego syna i posadziła obok grupy bawiących się dzieci. Nie mógł on chodzić, bo miał zniekształcone ręce i nogi i wymagał stałej opieki osoby dorosłej. Nie umiał też mówić, a wysławiał się bełkotem, który tylko rodzice rozumieli. Gdy tak sobie siedział, dzieci tam obecne zaczęły patykami nabierać leżące krowie łajno i smarować nim ręce i nogi kaleki. Nie zauważyły przy tym zbliżającego się od

strony miasta pana Krzaka. Gdy go zobaczyły rozpierzchły się na wszystkie strony. Na całe życie zapamiętałem, jak pan Krzak wziął syna na ręce i płakał niosąc go do domu. Ale dopiero później zrozumiałem co to znaczy okrucieństwo.

Obok domu pani Brody Zarząd Miasta Kępna postawił budynek parterowy, potocznie zwany barakiem, w którym po obydwu stronach korytarza na przestrzał znajdowało się 10 izb. W każdej z nich mieszkała jedna rodzina spośród najbiedniejszych mieszkańców. W ten sposób miasto zapewniło im dach nad głową, gdyż nie stać ich było na wynajem. W rodzinach tych było bardzo dużo dzieci, z którymi wspólnie bawiłem się, a przede wszystkim chodziłem pasać kozy.

Po drugiej stronie domu pani Brody, w kierunku przebiegającej na nasypie linii kolejowej Ostrów Wielkopolski-Kępno-Kluczbork, znajdował się budynek pani Sołtysik, dalekiej krewnej mego ojca. W okresie zimowych ferii i letnich wakacji przyjeżdżał do niej z Bohum z Niemiec syn krewnych. Uczęszczał on w Niemczech do polskiego gimnazjum. Przyjaźnili się z nim moi bracia Jan i Władysław i przez cały wolny czas przebywali razem u pani Sołtysik. Po zakończeniu wojny polsko-niemieckiej 1939 roku usiłował on przedostać się przez Holandię do polskiego wojska w Anglii. Zamiar nie powiódł się. W czasie wyprawy został aresztowany przez Niemców, a następnie ścięty w Moabicie w Berlinie.

Obok domu pani Sołtysik stał dom pana Zielińskiego, pracownika Gazowni Miejskiej, instalatora sieci gazowych. Za Zielińskim znajdował się dom pana Wenc1a, z którego synem Stanisławem, moim przyjacielem, spotykam się do dziś. Dalej mieszkał pan Chowański, robotnik w Gazowni Miejskiej, który pracował przy piecach wypalających koks. Dom pana Chowańskiego był najbliżej zabudowań pani Rachel, gdzie mieszkaliśmy. Chowański miał dwie córki i dwóch synów, z których najstarszy Marian był bardzo uzdolniony w dziedzinie rysunku i malarstwa, ale jednocześnie miał bardzo zaawansowaną chorobę – gruźlicę, na którą zmarł w okresie niemieckiej okupacji. Rysunki malowane farbami wodnymi i obrazy Mariana były w moim odczuciu tak doskonałe, że pamiętam je do dziś. Pana Chowańskiego pamiętam jeszcze dlatego, że ilekroć u nich byłem, zawsze widziałem go czytającego gazetę „Robotnik”. W wieku dziecięcym od zainteresowań politycznych byłem bardzo daleko i dopiero po latach dowiedziałem się, że Chowański był socjalistą skłaniającym się w kierunku polskiej partii komunistycznej.

Za panią Rachel miał swój okazały dom pan Marcin Pytlik. Razem z żoną utrzymywał się z handlu dewocjonaliami i zabawkami dla dzieci, które sprzedawał na wszystkich odpustach kościelnych. Na tym dorobili się sporego majątku. Za panem Pytlikiem była łąka – własność naszej gospodyni. Przez łąkę płynął strumyk bez nazwy, który stanowił granicę pomiędzy miastem Kępno i terenami należącymi do Gminy Baranów. Za strumykiem mieszkali we własnych domach panowie: Wróbel, Tortoń pracujący jako strażnik Straży Granicznej, Patuła maszynista kolejowy i Stryjakiewicz. Za Stryjakiewiczem przebiegała w nasypie linia kolejowa Ostrów Wlkp-Kępno-Kluczbork (Kreuzburg po stronie niemieckiej). Za nasypem kolejowym, były tereny rolnicze majątku Mianowice, którego właścicielem był Ciucke.

Na tym terenie i w tym sąsiedztwie upływało moje dzieciństwo do wojny polsko-niemieckiej 1939 roku. Ze zdarzeń tamtego okresu pamiętam pod koniec lata 1938 roku zjawisko bardzo wyraźnej zorzy polarnej. Późnym wieczorem wszyscy mieszkańcy naszej ulicy wyszli obserwować, jak na nieboskłonie zwijały się różnokolorowe wstęgi, wśród ciszy jak makiem zasiał. Ludzie na obserwowane zjawisko reagowali różnie, jedni przyglądali się w milczeniu, inni klękali i odmawiali modlitwy, a jeszcze inni komentowali to jako znak kary bożej i ostrzeżenie przed mającą nastąpić wojną. Zjawisko zorzy polarnej łączono z niespotykanym dotychczas ilościowo wylęgiem chrabąszczy, które wieczorami w nie zakłócanym najlżejszym powiewem powietrza fruwały całymi chmarami. Był to raj dla dzieci, współzawodniczących między sobą, które złapie najwięcej owadów. W ciągu dnia natomiast wyruszano otrząsać chrabąszcze z drzew i zbierać je do wiader. Liczba tych owadów była tak wielka, że ptactwo domowe, które początkowo biło się o nie między sobą, później nie chciało ich wcale jeść.

Z początkiem 1939 roku miały miejsce i inne zdarzenia, które były atrakcją dla dzieci. W majątku Ciuckego zakwaterowano oddział kawalerii Wojska Polskiego. Całe gromady ludzi z miasta przechodzi-

ły naszą ulicą oglądać, jak polscy ułani ćwiczą ścinanie szablami w pełnym galopie leszczynowych witek. W budynku „Sokoła” powołano i zakwaterowano Batalion Obrony Narodowej. Powołano do niego syna pani Rachel – Teodora i syna pana Pytlika – Maksymiliana. Pewnego dnia zniknął z domu mój ojciec. Gdy pytałem mamę, gdzie jest tata, odpowiadała, że musiał wyjechać. Dopiero później dowiedziałem się, że ojciec

został zmobilizowany i skierowany do Barcina na Pomorze, gdzie pracował dalej jako kolejarz – zabezpieczając prawidłowe funkcjonowanie transportów wojskowych. Ojciec przez cały okres walk Armii „Pomorze” cofał się wraz nią do Warszawy, a dalej aż do Kamionki Strumiłowej pod Lwowem, gdzie się z nim spotkaliśmy.

Jeszcze przed wyjazdem ojca nosiłem mu do pracy obiady, ponieważ coraz dłużej musiał tam zostawać. Stacja kolejowa Kępno była zatłoczona transportami wojskowymi. Pewnego dnia, gdy zanosłem obiad, oglądałem na własne oczy nadlatujący od strony Wieruszowa samolot. Lecił nad torem, na którym stał transport wojskowy. Drugi lotnik, odwrócony tyłem do pilota, cały czas robił zdjęcia aparatem fotograficznym. W transporcie spostrzeżono, że jest to samolot niemiecki, bo na kadłubie i skrzydłach miał krzyże. Zaczęto do niego strzelać z karabinów maszynowych ustawionych na platformach. Nie można go było jednak trafić, ponieważ leciał nie wyżej jak 5 do 10 metrów nad wagonami transportu. Następnie skierował się do Sycowa (po stronie niemieckiej), a dalej do Oleśnicy, gdzie znajdowało się niemieckie lotnisko polowe. Wszystko to miało miejsce na przełomie 1-go i 2-go kwartału 1939 roku.

Rzeczą charakterystyczną dla tamtego okresu była bardzo duża liczba Japończyków, którzy chodzili po domach i oferowali do sprzedaży różne artykuły dalekowschodnie, między innymi obrazy malowane na jedwabiu.

Z końcem czerwca 1939 roku ukończyłem trzecią klasę szkoły powszechnej. Jednak po wakacjach nie poszedłem już do szkoły. 1-go września we wczesnych godzinach rannych miasto Kępno okryła gruba warstwa mgły. Była tak gęsta, że nic nie było widać na odległość wyciągniętej ręki. W tej mgle słychać było warkot silników latających nad miastem samolotów. Po pewnym czasie odleciały nad Wieluń, gdzie zbombardowały 80% zabudowy miasta.

Do południa zawiadomiono naszą rodzinę, że mamy się ewakuować.

Matka spakowała niezbędniejsze rzeczy, bracia Jan i Władysław załadowali toboły na rowery i udaliśmy się na dworzec kolejowy. Załadowaliśmy się do wagonów-węglarek. Odwieziono nas przez Ostrzeszów do stacji kolejowej Namysłaki. Wśród ewakuujących się był dyrektor gimnazjum i liceum ogólnokształcącego pan Paczosa. Z Namysłaków szliśmy pieszo, prowadząc rowery z tobołami do Błaszek.

Z naszej ulicy oprócz nas wyjechała także rodzina maszynisty kolejowego pana Patuły (cztery córki i jeden syn – wszyscy nieletni). Przed zapadnięciem zmroku nie dotarliśmy jeszcze do Błaszek, więc zanocowaliśmy w stodole u rolnika w jednej z mijanych wiosek.

Niedługo po północy patrol wojskowy obudził wszystkich uchodźców, ponagając ażeby spiesznym marszem przekroczyć most na rzece – dopływie Proсны, najdalej do godziny trzeciej, ponieważ o tej porze będzie wysadzony w powietrze. W czasie tego marszu widziałem obandażowanych polskich żołnierzy, leżących w rowach przy drodze.

Zdążyliśmy przed wyznaczoną godziną przekroczyć rzekę, Gdy dochodziliśmy do dworca kolejowego w Błaszach, który był znacznie oddalony od miasta, usłyszeliśmy wybuch wysadzanego mostu. Na stacji oczekiwał na uchodźców pociąg osobowy. Po załadowaniu się do środka we wczesnych godzinach rannych wyruszyliśmy w dalszą drogę. Przez Warszawę, gdzie pierwszy raz widziałem jak szeroka jest Wisła, transport nasz kierowano na południowy wschód. W czasie podróży kilkakrotnie pociąg nasz był bombardowany i atakowany ostrzałem karabinów maszynowych przez samoloty niemieckie.

Po dwóch tygodniach podróży dotarliśmy do Kamionki Strumiłowej pod Lwowem. Tam rozkwatowano nas po tak zwanych „koloniach”. Były to rzadko rozrzucone wśród pól gospodarstwa miejscowej ludności i osadników wojskowych, którzy zamieszkali tam po pierwszej wojnie światowej. Nasza rodzina ulokowała się ( u Ukrainca, a rodzina pana Patuły w innej wiosce, też u gospodarza. Pamiętam, że drogą obok naszego gospodarstwa przechodził dość liczny konny oddział żołnierzy Straży Granicznej w zwartym szyku, który cofał się przed Niemcami aż ze Śląska. Potem dowiedzieliśmy się, że wojska rosyjskie wkroczyły na teren Polski. Najstarszy brat Jan wybrał się rowerem do sąsiedniej wioski do Patułów, żeby się czegoś dowiedzieć i uzgodnić co robimy dalej. Gdy jechał drogą, polscy żołnierze leżący w przydrożnych rowach wołali do niego, aby zszedł z roweru i przyszedł do nich. Na niebie zjawiał się akurat samolot przeprowadzający rozpoznanie lotnicze. Brat dołączył do naszych żołnierzy. Wtedy okazało się, że jest z nimi nasz ojciec. Wszyscy byli z Armii „Pomorze” i cofali się przed Niemcami do Lwowa. Ojciec odłączył od żołnierzy i przybył z bratem do nas. Następnego dnia, po porozumieniu się z rodziną Patuły, postanowiono, że wyruszamy pieszo w powrotną drogę do Kępna.

Gdy dotarliśmy do powiatowego miasta Sokala, urzędowała już tam komisja niemiecko-rosyjska, przeprowadzająca selekcję uchodźców na tych, którzy powracają na tereny zajęte przez wojska niemieckie oraz pozostających na terenach opanowanych przez Rosjan. Ojciec otrzymał dokument uprawniający go do powrotu z rodziną do Kępna. W drodze powrotnej byliśmy wielokrotnie kontrolowani przez patrole wojskowe. Nasz dokument nie był jednak nigdy kwestionowany i pozwalano nam wędrować dalej. W tym czasie widziałem czerwonoarmistów, którzy nosili karabiny na ramionach mając zamiast pasów sznurki. Oglądałem też polskie działa przeciwlotnicze porzucone przy drodze. Żołnierze rosyjscy byli bardzo ubogo ubrani i rzucała się w oczy różnorodność ich ekwipunku. Wyróżniali się zwłaszcza długością bagnietów na karabinach.

Wędrując wiele dni dotarliśmy przez Hrubieszów do Chełma. Tam odpoczywaliśmy w budynkach, w których kiedyś mieściła się Dyrekcja Okręgowa PKP. Moim zadaniem było zapewnienie ciepła w zajmowanym pomieszczeniu, bo dni stawały się coraz chłodniejsze. Robiłem to w ten sposób, że z piwnicy przynosiłem akta kolejowe i paliłem nimi w kaflowym piecu. Po spaleniu papieru piec długo się nagrzewał, a potem trzymał ciepło do następnego dnia. Budynek, w którym kwaterowaliśmy położony był blisko bocznic kolejowej. Obserwowałem stąd przez okno, jak rosyjscy żołnierze ładowali na platformy kolejowe różnorodne materiały dowożone samochodami. Uderzyła mnie absurdalność tego, że wśród rabowanych rzeczy znalazły się nawet na pół zgniłe deski.

Wszystko co znajdowało się na terenach zajętych przez Rosjan stanowiło zdobycz wojenną. Sowieci nieznali pojęcia własności prywatnej. Dlatego zarekwirowali też stojący na ulicy autobus, którym w ucieczce przed Niemcami dojechała do Chełma rodzina uchodźców z Katowic. Żołnierze wraz z autobusem zatrzymali wszystko, co się w nim znajdowało. Rodzina uchodźców w tym co miała na sobie musiała pieszo wracać na Śląsk. Nie wiem jak to się stało, ale do pustego już pojazdu wjechało na pięknych koniach dwóch rosyjskich wojskowych. Było widać, że to wyżsi dowódcy, Wskazywały na to piękne rzędy końskie, błyszczące buty, nowe pasy z koalicijkami i bronią krótką oraz szablę przy boku. Na głowach mieli spiczaste budionówki z dużymi czerwonymi gwiazdami. Matka wyrzuconej z autobusu rodziny płacząc ciągle chwyciła starszego z tych wojskowych za nogę i gestykulując coś do niego mówiła. On usiłował się od niej uwolnić, ona jednak nie puszczała. Widziałem, że oficer był zażenowany tą sytuacją. Energicznym gestem odprawił żołnierzy pilnujących autobusu. Kobieta uklękła na ziemi i żegnała ich krzyżem. Wreszcie oficerowie na koniach odjechali. Zrozumiałem że oddano uciekinierom ich własność – autobus – wraz z tym co tam mieli. Na jak długo?

Na zmianę prowadząc rowery z tobołami (ojciec, brat Jan i brat Władysław), codziennie przemierzaliśmy od 30 do 50 kilometrów w kierunku Kępna. Nocowaliśmy u gospodarzy w mijanych po drodze wioskach. Ostatni odcinek Wieruszów-Kępno przejechaliśmy wojskowym samochodem ciężarowym. Ojciec zapłacił kierowcy papierosami.

Do Kępna z ewakuacyjnych peregrynacji powróciliśmy 2 października 1939 roku. Mieszkanie pod opieką naszej gospodyni zastaliśmy w takim stanie, jak je pozostawiliśmy wyjeżdżając. Ojciec zgłosił się w swoim poprzednim miejscu pracy, lecz przepracował tylko miesiąc. Później już tam nie chodził. Z jakich powodów? Nie wiem, przy mnie o tym nie rozmawiano.

Pewnej listopadowej nocy ojciec z bratem Janem zakopali za stodołą w ogrodzie naszej gospodyni zawinięte w nasyczone olejem kocy – karabin i szablę, które ojciec przywiózł ze sobą z pierwszej wojny światowej. Sprawą najważniejszą stało się przetrwanie zimy z 1939 na 1940 rok. W komórce jaką posiadaliśmy w ramach wynajmu mieszkania mieliśmy pewien zapas węgla i drewna, jeszcze z czasów przed wybuchem wojny. Stanowił on podstawę naszego dalszego bytu. Matka gotowała jak najoszczędniej w kuchni. Z nastaniem mrozów paliliśmy tylko w jednym pokoju, w którym skupiło się całe życie rodzinne. Ojciec był bez pracy, a ja nie chodziłem do szkoły. Bracia od kolegów z miasta przynosili wiele książek patriotycznych i o historii Polski.

Opady śnieżne tej zimy były bardzo duże, z częstymi zamieciami.

Z mieszkania na dwór prawie wcale nie wychodziłem. Oszczędzało się wszystko – ubranie, buty, jedzenie, węgiel. Z rozmów, jakie prowadzono w domu zacząłem zauważać, że wśród ludzi zaczął następować podział. Wynikało to z tego, że okupacyjne władze niemieckie żądały zdecydowanego zdeklarowania się czy się chce być obywatelem niemieckim (podpisanie tak zwanej „volkslisty”) czy też polskim. Ojciec został wezwany na rozmowę do starostwa. O jej wyniku przy mnie nie rozmawiano. Ja swój czas wypełniałem czytaniem książek i wyglądaniem przez okno na zawianą śniegiem ulicę. Często widziałem przechodzącego pod oknem młodego człowieka, lekko ubranego, bez czapki i nauszników, który maszerował w śniegu. Bracia odpowiadali, że to syn Ciuckiego, właściciela Mianowic. Na pytanie dlaczego on tak chodzi ubrany pomimo zimy odpowiadali, że hartuje się na przyszlą wojnę z Rosją i że jest to zażarty „hajota” (członek Hitlerjugend).

Podobno zginął podczas wojny na wschodzie. W tym czasie przeczytałem grubą księgę „Nihilisci” (autora nie pamiętam), w której opisywano zamachy bombowe na cara. Doczytałem się też, że ojciec lub dziadek obecnego właściciela Mianowic należał do nihilistów. Majątek Mianowice był punktem przerzutowym ludzi i „bibuły” antycarskiej z Prus na teren zaboru rosyjskiego (granica przebiegała na

Prośnie). Nihilisci mieli w strażach granicznych obydwu zaborców swoich ludzi, którzy umożliwiali im przechodzenie na drugą stronę. Gdy carska „Ochra” we współpracy z policją pruską rozpracowała Ciuckego jako kierownika punktu przerzutowego, dano mu jako szlachcicowi do wyboru – proces z wyrokiem śmierci lub załadowany pistolet. Ciucke wybrał pistolet i popełnił samobójstwo. Ponieważ w tamtych czasach było nie do pomyślenia, aby samobójca mógł być pochowany na cmentarzu, złożono zwłoki w lasku jego majątku po lewej stronie od drogi Kępno – Wieruszów.

Po Bożym Narodzeniu 1939 roku brat Jan z gimnazjalnym kolegą Jaskólskim, w tajemnicy przed wszystkimi, pojechał do Zakopanego. Zamierzali przez Słowację i Węgry przedostać się do Anglii do Wojska Polskiego. Jan w okresie nauki w Śląskich Technicznych Zakładach Naukowych w Katowicach ukończył kurs szybowcowy, a następnie kurs pilotażu samolotów silnikowych i w 1939 roku uzyskał licencję pilota sportowego. Chciał się zgłosić do naszego lotnictwa w Anglii. Po dwóch tygodniach powrócił jednak do Kępna. Dlaczego wyprawa się nie udała – mnie o tym nie mówiono.

Na wiosnę 1940 roku zaczęliśmy odczuwać biedę w rodzinie. Jan rozpoczął pracę jako robotnik torowy w niemieckim przedsiębiorstwie kolejowym, a Władysław jako robotnik rolny w majątku Ciuckego na Mianowicach. Ja uczęszczałem do szkoły, bo taki był kategoryczny wymóg okupacyjnych władz niemieckich. Chodziłem też pod nasyp kolejowy i gdy przejeżdżały pociągi towarowe gestami prosiłem maszynistów o węgiel. Większość z nich rozumiała i zrzucała pojedyncze bryły. W ten sposób mieliśmy opał do gotowania strawy. Ojciec razem a Panem Pytlikiem dwukrotnie wzywany był do starostwa na rozmowy w sprawie podpisania „volkslisty”. Obydwaj kategorycznie odmawiali. Pan Pytlik odczuł to na sobie. Pewnego razu idąc chodnikiem dostał po pysku od młodych „hajotów”, bo mijając ich nie zdjął czapki. Podczas nacisków na podpisanie „volkslisty” ojciec rozmawiał o tym z naszą gospodynią panią Rachel. Pewnego razu pokłócili się. Okazało się, że pani Rachel już ją podpisała. Od tego czasu ojciec nazywał ją „stara hakata”. Dopiero po latach dowiedziałem się, że córka pani Rachel – Marta, pracowała w Katowicach w jednej z hut jako księgowa, Została aresztowana przez Gestapo, bo wydało się, że była angielskim szpiegiem. Przekazywała Anglikom informacje o hucie i przeznaczeniu jej produkcji. Pani Rachel po aresztowaniu córki ludziła się, że podpisując „volkslistę” zdoła ją uratować. Tak się jednak nie stało. Po procesach ścięto ją w Moabicie w Berlinie.

W domu zdawaliśmy sobie doskonale sprawę, że po wpisaniu się na „volkslistę” obaj bracia natychmiast powołani zostaną do Wehrmachtu i będą musieli wziąć udział w wojnie za niemieckie interesy. Taki los spotkał obydwu synów pani Rachel, których skierowano do służby w niemieckim wojsku we Francji.

31 lipca 1940 roku o godzinie 2-iej w nocy umundurowany gestapowiec, dwaj policjanci i osobnik ubrany po cywilnemu dali nam 20 minut na spakowanie najniezbędniejszych rzeczy i opuszczenie mieszkania. To samo spotkało naszych sąsiadów – Pytlików. Nasze szczęście polegało na tym, że ojciec i matka przewidywali, że może nas to spotkać i już wcześniej byliśmy spakowani. Zabraliśmy toboły na plecy i pod konwojem zostaliśmy odprowadzeni razem z Pytlikami na stację kolejową. Załadowano nas do krytych wagonów towarowych i zawieziono do Łodzi. Tam umieszczono nas w halach opuszczonej fabryki. Było nas kilka tysięcy ludzi. Tam mieszkaliśmy przez tydzień.

Selekcję rozpoczęto od ogłoszenia, że władzom obozu należy oddać wszelką posiadaną broń białą i palną. Wyznaczono dwudniowy termin. Jak wspominałem państwo Pytlikowie utrzymywali się ze sprzedaży dewocjonaliów i różnych drobiazgów, chętnie kupowanych przez wiejskie dzieci. Były to między innymi tzw. koziki lub „knyki”, czyli nożyki o drewnianej rękojeści i jednym ostrzu z blachy. Były to zabawki, którymi można było strugać patyki, witki brzoźowe. Taki też knypek miał przy sobie pan Pytlik, któremu nie przyszło na myśl, że jest to „biała broń”. Podczas rewizji osobistej, przeprowadzonej po wyznaczonym terminie zdania broni, znaleziono u niego knypek. Trzech ludzi ze straży obozowej zabrało Pytlika, wprowadziło go na rodzaj podwyższenia, żeby wszyscy widzieli i zaczęło bić. Pani Pytlikowa zemdląła. Bili biedaka przez około 15 minut. Potem odprowadzili go na miejsce, gdzie miał swoje legowisko i porzucili.

Następnym etapem selekcji było odłączenie od rodzin młodzieży męskiej i żeńskiej, która mogła być wykorzystana do pracy w niemieckich gospodarstwach rolnych i przemyśle. Odłączono od nas braci Jana i Władysława i przeniesiono do innej hali. Oddzielnym transportem zostali wywiezieni w okolice Emden-Wilhelmshafen.

Jeszcze przed odłączeniem braci Jana i Władysława od nas i przeniesienia ich do innej hali fabrycznej, ojciec umówił się z nimi, że w wypadku rozłączenia każdy z nich i ojciec będą pisać listy do rodziny mojej mamy w Biskupicach Zabarycznych, celem wzajemnego ustalenia adresów nowych miejsc pobytu.

Po odjeździe transportu z młodzieżą do Rzeszy przyszła kolej na nas.

Wśród zgromadzonych w hali fabrycznej ludzi trwały ciągle dyskusje o metodach postępowania z Polakami, którzy nie podpisali „volkslisty”. Ścierały się dwa poglądy. Jedni, pamiętający czasy „kajzerowskich” Niemiec uważali, że postępowanie hitlerowców z Polakami nie będzie zbyt drastyczne. Inni, a tych była mniejszość, mówili że III Rzesza to nie są już te same Niemcy. Jako przykład podawali

dywersję w Bydgoszczy, naoczny przykład postępowania z panem Pytlikiem, gdy znaleźli u niego „knypek” i obozy koncentracyjne tworzone po dojściu Hitlera do władzy. A wszyscy razem wierzyli i spodziewali się, że w najbliższym czasie nasz wróg zostanie rozgromiony przez Anglie.

Pod koniec tygodnia pobytu, późnym wieczorem, sformowano kolumnę marszową i pod uzbrojoną strażą zaprowadzono nas na jeden z łódzkich dworców. Już wcześniej wśród ludzi poufnie przekazywano sobie informację, żeby iść w zwartym szyku, bo Niemcy będą strzelać do pozostających w tyle.

Na dworcu załadowano nas do krytych wagonów towarowych, zaplombowano i pod strażą wywieziono przez Warszawę w kierunku Lublina. Po drodze niektóre wagony odłączano na mijanych stacjach. My ciągle jechaliśmy. Z Lublina w stronę Rozwadowa. Na małej stacji kolejowej Szastarka wyładowano kilka rodzin, w tym naszą i państwa Pytlików. Przed dworcem czekały na nas „podwozy” – chłopskie wozy zaprzężone w konie. Nas troje i Państwo Pytlików przydzielono na jedną z furmanek. Po załatwieniu formalności zdawczo-odbiorczych pomiędzy strażą transportu i przedstawicielami Gminy wyruszyliśmy w drogę.

Wiozący nas gospodarz pochodził ze wsi Brzozówka, odległej od Szastarki o 4-5 kilometrów. Był tam sołtysiem. Nazywał się Jan Powązka. Wioska była mała, zabudowania mieszkalne i gospodarcze usytuowane wzdłuż polnej drogi. Terytorialnie należeliśmy do gminy Polichna. Parafia natomiast znajdowała się w wiosce Blinów odległej o 7 kilometrów. Powiat Janów Lubelski.

Po dotarciu na miejsce woźnica zatrzymał nas troje u siebie, oddając nam w swoim domu do zamieszkania kuchnię. Pytlików umieścił 150 metrów dalej u innego gospodarza.

Nasi gospodarze mieli 15-letniego syna Jana. Na podkreślenie zasługują życzliwość, współczucie i bezinteresowna pomoc, jaką nam okazywali. Wioska była biedna, mieszkańcy chodzili boso, ubierali się w bieliznę i ubranie, które sami uszyli z płótna wytworzonego z lnu i konopi, uprawianych przez siebie. Podstawą utrzymania były ziemniaki i kasza jaglana z prosa i gryczana z tatarski oraz „pęczak” z jęczmienia. Chleb wypiekali sami z mąki żytniej, a ciasto na święta z mąki pszennej. Ciastem świątecznym był chleb lepszej jakości z tak zwanej mąki pytlowej. Do tego dochodził jako tłuszcz olej wytłaczany z rzepaku. Jeżeli wyrabiano masło, to tylko z przeznaczeniem na sprzedaż, bo było to jedyne źródło dopływu pieniędzy w gospodarstwie. Gospodarstwa były „karłowate”. Posiadaną ziemię dzielono pomiędzy synów w rodzinie. Takie podziały własnościowe powodowały, że pola były ogromnie długimi i wąskimi pasami gruntu, oddzielonymi od siebie drogami dojazdowymi. Niektóre gospodarstwa posiadały też tak zwane „serwituty”. Były to tereny leśne z dawnych majątków obszarnczych, podzielonych przez zaborcę za udział w powstaniach, a w okresie dwudziestolecia międzywojennego – w wyniku parcelacji przeprowadzonej przez rząd Polski.

W odległości około 1,5 kilometra od wioski był dwór. Po naszym przyjeździe trzeba było jakoś żyć, więc ojciec poszedł tam za pracą. Pamiętam tylko, że tego dnia po powrocie ze dworu był bardzo wzburzony i cały czas kłął. Ojciec podobnie jak pan Pytlik był zdecydowanym wrogiem Niemców i Niemiec jako państwa. Z łatwością mógł znaleźć pracę w Deutsche Ost-Bahn – Niemieckiej Kolei Wschodniej, lecz zdecydowanie podkreślał, że nie będzie swoją pracą pomagał hitlerowcom. Obydwaj z Pytlikiem służyli w pruskim wojsku i na podstawie życiowego doświadczenia i przemyśleń o sytuacji politycznej wiedzieli, że prędzej czy później dojdzie do wojny pomiędzy III Rzeszą i Związkiem Radzieckim i że Niemcy z tej wojny nie wyjdą zwycięsko.

Sytuacja życiowa w jakiej się znaleźliśmy zmuszała nas do myślenia o przyszłości. Wiara i przekonanie, że hitlerowcy nie będą triumfowali w nieskończoność nie zmieniały faktu, że trzeba było zadbać o życie codzienne. Zbliżała się przecież zima. Ojciec i mama chodzili od gospodarza do gospodarza i dowiadywali się o możliwościach znalezienia pracy. Największą pomoc znaleźliśmy u dwóch ludzi, którzy w miejscowej opinii uchodzili za najbogatszych. Wyznacznikiem tego bogactwa w rozumieniu chłopów było to, że jeden z nich – pan Andrzej Wcisło, miał budynek mieszkalny kryty blachą, a nie jak wszyscy słomianą strzechą. Drugi natomiast, pan Franciszek Bigos, wyróżniał się wobec całej wsi wysoką kulturą rolniczą. Krowy, które posiadał, dawały dużo mleka, a w obejściu było czysto aż do przesady. Zięć Bigosa, Andrzej Flis, był znany z zamięłowania do hodowli rasowych koni. Posiadał ogiera z rodowodem, chowanego od żrebaka, który prowadzony na lince przez gospodarza poruszał się z taką gracją, że chód jego można było porównać do tańca.

U Pana Bigosa zacząłem paść krowy, za co dostawałem codzienne utrzymanie. Mama znalazła pracę przy międleniu lnu i konopi, a ojciec za zgodą panów Bigosa i Wcisło wykopywał pnie po ściętych drzewach w ich serwitutach leśnych. Po wykopaniu większej liczby pni wypożyczonym wozem przywoził je na podwórze naszego gospodarza, rąbał na kawałki umożliwiające wkładanie do paleniska kuchni i układał na trzy wysokie stopy. Opał na zimę mieliśmy przygotowany. Mama po zakończeniu międlenia otrzymywała partiami len i konopie do czesania na specjalnym grzebieniu. Po wyczesaniu wiązała w tak zwane motki przypominające dziewczęcy warkocz, a następnie przędła cieniutkie nici, na urządzeniu zwanym przęślicą, nawijając je na wrzeciono. Ten sposób pracy znała jeszcze z domu rodzinnego. Nić wyciągana przez mamę była tak dobra, że gospodynie nie mogły się nadziwić, iż taką potrafi uzyskać.

Ojciec po przygotowaniu drewna opałowego młócił zboża w stodołach cepami u panów Bigosa i Wcisło. Gdy jesienne dni stawały się coraz krótsze, pogoda mglista i deszczowa, pożyczył tak zwaną kobylnicę i strug do drewna o dwóch rękojeściach. Kobylnica było to urządzenie podobne do ławki na czterech nogach. Z jednej strony miała ona jak gdyby imadło przypominające koński łeb. Siadało się na niej okrakiem, w imadło wkładało się podłużny kawałek drewna do obróbki strugiem w położeniu poziomym. Nieruchome trzymanie drewna uzyskiwało się przez nacisk lewej lub prawej nogi pod kobylnicą na coś jakby pedał.

Ponieważ nie mieliśmy lampy naftowej, a innego światła na wsi nie znano, wstawialiśmy gdy na dworze robiło się jasno. Mama drzazgami drewna rozpałała ogień w palenisku kuchni. Na śniadanie najczęściej jadaliśmy polewkę z wrzątku zasypanego mąką, do tego chleb (jeśli był). Podobnie wyglądały kolacje. Na obiad jedliśmy ziemniaki – jeżeli były. Po śniadaniu mama przędała len lub konopie, albo też zwijała uprzedzone nici w pasma do dalszej obróbki na warsztacie tkackim. Ojciec z uzyskanych od gospodarzy bukowych szczap strugał ośnikiem (strugiem) deski. Zbudował z nich na wczepy, bez jednego gwoźdźca, stół na krzyżakach, abyśmy mieli na czym jeść posiłki. Do tego dorobił szeroką i długą ławę, która służyła mi za łóżko, a także trzy taborety.

Gdy dzień skłaniał się ku wieczorowi ojciec kończył struganie, a mama przygotowywała kolację, którą spożywaliśmy na zmianę – najpierw ojciec, potem mama i ja. Po umyciu naczyń siadaliśmy przy blasku ognia z paleniska i omawialiśmy wydarzenia opisywane w listach od moich braci. Wiadomości nie były dobre. Niemcy zajęły Francję i zyskiwały sojuszników spośród państw bałkańskich.

Do moich obowiązków w czasie długich jesiennych i zimowych dni należało chodzenie do wsi Szastarka, gdzie oprócz stacji kolejowej, na której zostaliśmy wyładowani, znajdowana się także poczta, młyn i kilka sklepów. Na stacji kolejowej znajdował się także punkt dostawy kontyngentów, których wysokość wyznaczały władze okupacyjne poprzez Gminę. Były to obowiązkowe dostawy żyta, pszenicy, owsa, jęczmienia, żywca wieprzowego i wołowego. Za terminowe wywiązanie się z tego obowiązku okupant zezwalał rolnikowi na przemiał zbóż na własne potrzeby w miejscowym młynie.

Kontyngenty były bardzo wysokie. Za ich niewykonanie groziły kary więzienia, a nawet obóz koncentracyjny. Trzeba wprost powiedzieć, że w małych gospodarstwach bieda aż piszczała. Młyn w Szastarce wykonywał przemiał zbóż i przerób prosa i tatarski na kasze przede wszystkim na potrzeby niemieckiej wojska. Niemiecy żołnierze nie przejmowali się tym, że polscy chłopcy czekali w długich kolejkach aż pozwolą im zmielić przywiezione własne zboże.

Często chodziłem na pocztę do Szastarki z listami do wysyłki. Jeżeli z dawanych mi przez ojca i pana Pytlika pieniędzy na znaczki pozostawały jakieś drobne, miałem obowiązek kupić gazetę. Tytuł tego okupacyjnego szmatławca brzmiał „Nowy Kurier Lubelski”. Gdy gazetę kupiłem, to po przeczytaniu przez ojca i pana Pytlika zawiadamiało się gospodarza i okolicznych sąsiadów, którzy o określonej godzinie zbierali się w zamieszkiwanej przez nas kuchni. Wtedy zgromadzonym czytałem wszystkie artykuły o wydarzeniach na frontach i w polityce. Wieści nie były komentowane, każdy przetrawiał je w sobie. Był to podświadomy odruch, zabezpieczający przed ewentualnym posądzeniem o rozprzestrzenianie antyniemieckiej propagandy. Po przeczytaniu gazetę dzielono między obecnych, każdy zabierał jedną kartkę, która po podzieleniu na odpowiednie kawałki służyła do robienia skrętów (papierosów). Tytuł każdy chłop na wsi nosił w kapciuchu (woreczku z wyprawionego świńskiego pęcherza).

Po pewnym czasie zgromadzeń dla wspólnego czytania gazety zaniechano. Doradził to ojcu stary pan Marcin Powążka, ojciec naszego gospodarza.

Stary Powążka pełnił rolę szczególną. W długie zimowe i jesienne wieczory zbierał on ludzi ze wsi, w każdej chacie na zmianę, na wspólne odmawianie różańca. Takie spotkania różańcowe odbyły się też kilkakrotnie w zamieszkiwanej przez nas kuchni.

Ludzie zaczęli sobie przekazywać poufne wiadomości, że na Niemców napadają „partyzany”. We wsi Szastarka dokonali napadu na niemieckich strażników pilnujących magazynu ze zbożem z oddanych przez chłopów kontyngentów. Magazyn został podpalony. We wsi Polichna zaatakowali Urząd Gminy i posterunek granatowej policji. W Urzędzie Gminy spalili wszystkie kartoteki dotyczące obowiązkowych dostaw z okolicznych wsi, zniszczyli wyposażenie biur, zabrali maszyny do pisania.

Dzień przed Wigilią Bożego Narodzenia ojciec poszedł do wsi Polichna i w tamtejszym sklepie kupił: lampę naftową, dwa litry nafty, kilogram cukru i ćwiartkę wódki. Wigilię spędziliśmy przy świetle lampy naftowej. Mama upiekła placki z kruszonką, do których użyła cukru. Przygotowała także gęś uprzednio przez kilka tygodni tuczoną. Dostała ją od naszej gospodyni za to, że drugą utuczyła dla niej. Mieliśmy aż dwa słoiki gęsiego smalcu, który później mama wykorzystwała do potraw. Nauczyła też panią Powążkową jak robić kruszonkę do placka. Było to pierwsze Boże Narodzenie naszych gospodarzy, w czasie których ich ciasto świąteczne nie przypominało zwykłego chleba. Panią Powążkową i mamę połączyły wkrótce wspólne zainteresowania kulinarne.

W pierwszy dzień świąt przyszli do nas z wizytą państwo Pytlikowie. Ojciec z panem Pytlikiem wypili wódkę za nasze wspólne pomyślne przetrwanie i doczekanie wolnej Polski. Było trochę wesołości, ale więcej smutku i łez na dodatek. Na drugi dzień poszliśmy do Pytlików.

Dwa tygodnie przed świętami wysłaliśmy do braci Jana i Władysława listy z opłatkami dostarczonymi przez starego pana Marcina Powązkę. Byli oni wywiezieni do pracy w niemieckich gospodarstwach, każdy w innej wiosce, nad Morzem Północnym. Stamtąd przysłali nam do chodzenia drewniane holenderskie saboty.

Sprawa, której nie mogę pominąć w swoich wspomnieniach, to zastraszająco niski poziom higieny we wsi Brzozówka. Zjawiskiem powszechnym była wszawica u dzieci. Ja też ją miałem. Zwalczanie przez żony i matki tych pasożytów dawało raczej skromne rezultaty. Nie było ku temu warunków w gospodarstwach domowych. Dostępne mydło do mycia zawierało w sobie więcej glinki aniżeli środka mydlącego, a jeśli chodzi o proszek do prania to gospodynie przekazywały sobie takie wiadomości, że zawierają one jajka (gnidy) wszy. Często skuteczniejszy w praniu był stosowany przez gospodynie popiół drzewny, niż dostępne proszki do prania.

Jeżeli chodzi o sanitariaty, to wyjątkiem było posiadanie w gospodarstwie stojącego oddzielnie, na uboczu, ustępu. Jeżeli taki był, to w mocno sfatygowanym stanie. U naszych gospodarzy nie było ustępu, a potrzeby naturalne załatwiano w pomieszczeniu budynku gospodarczego przeznaczonym do tego celu. Kolejne warstwy ludzkiego nawozu przykrywano słomą, a to co nagromadziło się przez zimę i wiosnę wywożono na pola przed orką pod zasiewy. Piszę o tym nie po to, żeby wyśmiewać mieszkańców wsi, w której żyliśmy lecz dlatego, że na terenach wschodnich Rzeczypospolitej Polskiej był to stan powszechny. Spotykane nieliczne wyjątki potwierdzają regułę. Był to stan, który wszystkim kolejnym rządowi Polski międzywojennej wystawiał jak najgorszą opinię. Nasza gospodyni pani Powązkowa była bardzo zdziwiona, że moja Mama praną w rękach bieliznę gotowała we wrzątku, a następnie płukała w wodzie przed powieszeniem do wysuszenia.

Jak już wspomniałem pasalem krowy u pana Franciszka Bigosa, za co miałem całodzienne utrzymanie. Najbardziej lubiłem te chwile, gdy mogłem przysłuchiwać się rozmowie ojca z gospodarzem. Najczęściej były to wspomnienia dwóch byłych żołnierzy, którzy służyli każdy w innej armii zaborczej. Mój ojciec w armii pruskiej w Magdeburgu, a pan Bigos w armii carskiej we Władywostoku.

Przednowek 1941 roku był ciężki i głodny. Mama wydzielala codziennie ile kromek chleba mogę zjeść. Ponieważ byłem okropnie głodny, gdy nie widziała kroilem chleb i zjadłem go w ukryciu. Zawsze po czynie takim słyszałem cichy wyrzut mamy – dlaczego kroilem chleb. Zachodziłem w głowę skąd o tym wiedziała, gdy ja starałem się nie pozostawiać najmniejszej śladów. Pewnego razu przyjrzałem się dokładnie chlebowi przed jego krojeniem. Odkryłem, że na krawędzi

I spodniej strony bochenka mama wykroiła trzy małe ząbki. Od tego dnia i już jej nie oszukiwałem. Dopiero po latach doceniłem, jak ciężka musiała być dla rodziców decyzja o nie podpisaniu „volkslisty” i jak bardzo była słuszna.

Przed Świętami Wielkiej Nocy mama zmuszona była zebrać. Rankiem o szarym świcie wyruszyliśmy (ja z mamą) do sąsiedniej wioski. Codziennie do innej. Prosiłiśmy o wsparcie i nigdy nie spotkaliśmy się z odmową. Datki były różne, takie na jakie dającego było stać. Od jednego do czterech jajek, kromka a czasem ćwiartka chleba, szklanka mąki, kaszy jaglanej lub tatarczanej, czasem kawałek słoniny. Wszystko to gromadziliśmy skrzętnie. Każdy rodzaj żywności w innym woreczku. Gdy zaczynało zmierzchać wracaliśmy do domu, do swojej wsi. Szczególnie dużo uzbieraliśmy jajek kurzych, kaczyc i gęsi. W jedynym w naszej Brzozówce sklepie spożywczym, gdzie dostępne towary można było dostać tylko drogą wymiany, mama sprzedała CZ((ŚĆ zebranych jajek kurzych. Mieliśmy pieniądze na rzeczy najniezbędniejsze, a przede wszystkim na znaczki do listów do moich braci.

Z mąki mama upiekła ciasto na święta. W uzgodnieniu z panią Powązkową jaja gęsie i kacze podłożyła do wysiedzenia kurom. Wylęgnięte gęsięta i kaczęta mama hodowała, karmiąc je karmą sporządzoną z obierzyn od ziemniaków i polnych chwastów. Wyhodowane kaczki służyły jako danie obiadowe w niedzielę. Gęsięta były hodowane z przeznaczeniem na tucz przed Bożym Narodzeniem.

Ludzie przekazywali sobie poufne wiadomości o transportach wojsk niemieckich jadących na wschód. Zacząłem znowu popołudniami paść krowy u pana Bigosa. Przed południem chodziłem do miejscowej dwuklasowej szkoły, aby skończyć czwartą klasę.

Ojciec z gospodarzami posiadającymi leśne serwituty jeździł do lasu, gdzie ścinali drzewa (buki, graby, sosny) na potrzeby własnych gospodarstw. Taka wycinka według praw okupacyjnych była nielegalna i można było za to pójść do obozu koncentracyjnego. Pomiędzy gospodarstwami Andrzeja Wcisło i Franciszka Bigosa miał swoją ubogą gospodarkę pewien niemowa (nazwiska nie pamiętam). Posiadał on cenne w warunkach wiejskich umiejętności – potrafił ręcznie przecierać na deski przywiezione z lasu pnie sosnowe. Drugą nieocenioną zaletą gospodarza-niemy był umiejętność wyrobu kół do wozów. Nie mogłem się napatrzeć, jak ten kołodziej-samouk potrafił z drewna bukowego wyrobić piastę koła, szprychy i obręcz z segmentów osadzonych częściami na dwóch szprychach każdy. Takie koło należało później odwieźć do kowala, ażeby osadził na nim obręcz. Ponieważ tracz i kołodziej-samouk miał mały areal ziemi, w ten sposób pracował na utrzymanie swej rodziny. Środkiem płatniczym było ziarno żyta, pszenicy, prosa, tatarski, jęczmienia albo owsa, w zależności od umowy.



Ojciec pomagał w robotach rolnych i wycinie drzew, kopał i zwoził pnie, przygotowując na zimę opał.

W czerwcu Niemcy napadli na Związek Radziecki. Było widoczne gołym okiem, że ludzie zrobili się weselsi, zmieniła się atmosfera. Byliśmy głęboko przeświadczeni, że Niemcy nie wygrają. Rzeczywistość była jednak inna. Hitlerowcy ciągle szli na wschód, w gazetach pisano o dziesiątkach tysięcy, a potem już o setkach tysięcy branych do niewoli rosyjskich żołnierzy. Bracia w jednym z listów przysłali mapę wschodniej Europy, na której ojciec z panem Pytlikiem śledzili zdobycze terytorialne wojsk niemieckich.

Minęło lato, jesień, zaczęła się zima. Niemcy parli na Moskwę. Pewnego zimowego dnia przyszli do domu moi bracia Jan i Władysław. Okazało się, że po pewnych przygotowaniach, umawiając się uprzednio, uciekli z miejsca swojego pobytu. Przejechali całe Niemcy i Polskę. W ogólnej euforii upojeni zwycięstwami Niemcy osłabili kontrole na kolejach i bracia nie niepokojeni przez nikogo dotarli do nas.

Na froncie rosyjsko-niemieckim coś jakby stało. Wojska stanęły pod Moskwą. Potem już nie dawało się dłużej ukrywać, że Niemcy spod Moskwy zostali odparci i cofali się pod naporem Rosjan. Naszą radość przyćmiła jednak troska. Co dalej? Rodzice utrzymywali w tajemnicy fakt, że bracia są z nami. Wiedzieli o tym tylko nasi gospodarze i państwo Pytlikowie. Jeżeli Niemcy poszukiwali uciekinierów – moich braci, prędzej czy później mogli do nas dotrzeć. Wtedy w najlepszym wypadku wszystkich czekałby obóz koncentracyjny, a w najgorszym śmierć na miejscu przez rozstrzelanie i spalenie domu Sołtysa i jego zabudowań gospodarczych.

Decyzję w swojej sprawie bracia podjęli sami. Niemcy poprzez ogłoszenia w gazetach ciągle szukali ochotników do pracy w przemyśle zbrojeniowym. Bracia napisali do punktu werbunkowego w Rozwadowie. Jan jako były uczeń Śląskich Technicznych Zakładów Naukowych w Katowicach, w kierunku mechanicznym, był cennym nabytkiem. Posiadał znajomość i umiejętność pracy na obrabiarkach. Obydwaj bracia z Rozwadowa zostali wysłani do pracy w fabryce samolotów do Lipska. Wybrali najlepsze wyjście jakie mieli. Zginęli w tłumie i ciągle byli razem. Tak zaczął się dla mojej rodziny rok 1942.

Na froncie wschodnim, a tym przede wszystkim byliśmy zainteresowani, Niemcy cofali się. Serca nasze były z Rosjanami. Ich zwycięstwo to było nasze zwycięstwo. „Partyzany” wzmogli swoją działalność. Ludzie już śmielej mówili o ich napadach na posterunki granatowej policji, na punkty dostaw kontyngentowych, na urzędy gminne i o wysadzeniu torów kolejowych. Wszystkie te wydarzenia omijały jednak Brzozówkę. Mimo to z „partyzanami” zetknąłem się osobiście. W święto patronki parafii młodzież i kobiety z Brzozówki pod przewodnictwem starego Marcina Powązki szły na odpust do Blinowa. Ja też się tam wybrałem. Kobiety niosły w rękach buty i pończochy, które ubierały siadając w przydrożnych rowach, gdy dotarliśmy na skraj wsi Blinów. Po mszy w miejscowym kościele ludzie wylegli na ulicę, którą stanowiła zwykła gruntowa droga biegnąca przez wieś. Wzdłuż tej drogi ustawione były budy z różnymi atrakcjami dla dzieci i kobiet – jak to na odpuszcie. Ja też się tym różnościami przyglądałem, jednak o kupieniu czegokolwiek mogłem tylko pomarzyć. Nagle wśród obecnych powstało zamieszanie. Ludzie zaczęli biec w jednym kierunku do końca wioski. Ja też pobiegłem za nimi. I oto co ujrzałem. Środkiem wioskowej ulicy szło dwóch mężczyzn ubranych w wojskowe bluzy, spiętych pasem, na głowach mieli wojskowe czapki polowe z polskimi orzełkami. Spodnie mieli z lnianego płótna, takie jakie nosili chłopcy na co dzień. Jeden szedł boso, a drugi miał na nogach jakieś łapcie. Pierwszy z nich niósł przewieszony przez pierś ręczny karabin maszynowy Diegtiarewa, a drugi pistolet maszynowy „pepesza” z magazynkiem bębnowym na 72 naboje. Ludzie otaczali ich zwartym kręgiem, kobiety płakały, a mężczyźni byli bardzo ożywieni i też mieli łzy w oczach. To byli „partyzany”. Teraz mogę dokładnie określić, że byli z Batalionów Chłopskich.

W drodze powrotnej z odpustu w Blinowie, gdy już kobiety zdjęły z nóg buty i pończochy i znowu niosły je w rękach, na krótką chwilę odpoczynku zatrzymaliśmy się w lesie, przez który wiodła polna droga. Kobiety i dzieci posilały się tym, co kto miał. Ja pytałem starego pana Marcina Powązkę co to są za pagórki, przy których siedzieliśmy, a przypominające podłużne kopce, w których gospodarze jesienią kopcują ziemniaki. Czemu stoi przy nich stary drewniany krzyż, mocno już nadgryziony zębem czasu i dlaczego na czubku tego krzyża zatknięty jest kogut wycięty z blachy? Pan Powązka odpowiedział, że te podłużne kopce to są groby zbiorowe żołnierzy armii Napoleona, którzy w odwrocie spod Moskwy zginęli, zmarli z chorób lub wycieńczenia, a blaszany kogut na krzyżu to ich godło narodowe.

W międzyczasie Niemcy przenieśli siedzibę powiatu z Janowa Lubelskiego do Kraśnika, małego miasteczka, w którym stacja kolejowa położona jest jako pierwsza od Szastarki jadąc w kierunku Lublina.

W Kraśniku w Polsce przedwojennej, w ramach Centralnego Okręgu Przemysłowego, rozpoczęto budowę fabryki, której produkcja miała być związana z przemysłem zbrojeniowym. Wybudowane pracownicze osiedle przyfabryczne Niemcy adoptowali na koszary, aby móc bardziej skutecznie interweniować wobec dywersyjnej działalności partyzantów, nazywanych przez nich „bandytami”.

Pewnej letniej nocy zbudziło gospodarzy i nas głośne stukanie w okna i drzwi wejściowe z żądaniem otwarcia. Po otwarciu do kuchni zamieszkiwanej przez nas weszło trzech żołnierzy polskich w pełnym umundurowaniu i oporządzeniu. Oficer w stopniu porucznika z koalicijką, pistoletem przy pasie i mapnikiem przy boku, plutonowy z bronią boczną przy pasie i żołnierz szeregowy z karabinem i osadzonym na nim bagnetem. Wszyscy w hełmach z polskimi orłami. Oficer zaszalutował i przedstawił całą trójkę jako Wojsko Polskie. Pytał o nazwisko i imię ojca, skąd jesteśmy, czy nie jesteśmy narażeni na jakieś szykany ze strony ludności miejscowej. Mama płakała, ojciec odpowiadał zgodnie z prawdą, że jesteśmy traktowani jak najlepiej i jak najlepiej współżyjemy z sobą, co też było prawdą.

Mama poczęstowała ich jedzeniem. W trakcie spożywania posiłku, oficer dowiadywał się kim jesteśmy i dlaczego tu mieszkamy. Gdy skończył jeść mama ukroiła grubą kromkę chleba i wręczyła mu na drogę, tłumacząc że nic więcej dać mu nie może, bo nie ma. Mnie bardzo dziwiła szczodrość mamy wobec nieznanego człowieka. Tym bardziej, że wszystkim w naszej rodzinie chleb ścisłe wliczała. Gdy nasz gość dziękując wyszedł, z ciekawości zapytałam mamę dlaczego tak postąpiła. Powiedziała, żebym pamiętał o tym, że gdy żebraliśmy po sąsiednich wioskach, w żadnej chacie nie odmówiono nam pomocy.

Nasz ojciec i gospodarze w tym czasie byli nieobecni w domu. Ktoś jednak musiał powiedzieć pani Powązkowej o wizycie naszego gościa, bo przybiegła do mamy z wyrzutem, że wpuszcza nieznaną ludzi. Mama odpowiedziała na to, że ona ma dwóch synów na obczyźnie i wierzy w to, że i jej synom ktoś pomoże, gdy będą w potrzebie.

W lecie tego roku u najbogatszego gospodarza, pana Andrzeja Wcisło, zamieszkała Michalina Zamorska, wysiedlona z Wrześni nauczycielka gimnazjum i liceum ogólnokształcącego, z córką, mającą około 19-tu lat. Ja w tym roku ukończyłem wiejską dwuklasową szkołę powszechną. Pani Zamorska porozumiała się z ojcem i zapewne uzgodnili między sobą, że będzie się dalej zajmować moim doksztalaniem. Gdy nastąpiły dni jesienne, gdy już nie wyprowadzało się u pana Bigosa krów do pasania, pani Zamorska zaprosiła mnie do siebie i zaproponowała, że będzie mi wypożyczała do czytania książki, których bardzo dużo ze sobą przywiozła. Bardzo mi to odpowiadało, bo dni bez zajęcia bardzo się dłużyły. Od pani Zamorskiej otrzymywałem do czytania „Grażynę”, „Konrada Wallenroda”, „Dziady”, nowele Bolesława Prusa i wiersze Marii Konopnickiej oraz wszystkie lektury przewidziane programem przedwojennego gimnazjum i liceum. Gdy pod jej wpływem i pedagogicznym kierunkiem moje zainteresowania czytelnicze stopniowo wzrastały, poszerzała tematykę lektur.

Po latach, podsumowując moje życie, mogę powiedzieć, że ukształtowali mnie: mama, ojciec, bracia Jan i Władysław, pan Franciszek Bigos z Brzozówki, pani Michalina Zamorska z Wrześni – nauczycielka i pedagog z prawdziwego zdarzenia. Oni kształtowali moje dzieciństwo i ukierunkowali przyszłość. Pokazali co to jest patriotyzm, nauczyli dokonywania prawidłowego wyboru, a także uświadomili, że nie wszystko można kupić za pieniądze. Te wartości, które oni we mnie wykształcili, przekazywałem swoim dzieciom.